



**BIBLIA  
PO JAJCARSKU**  
PRAWDZIWA HISTORIA STWORZENIA



Keith Truman

## **Biblia po jajcarsku. Prawdziwa historia stworzenia.**

Copyright © 2021 Keith Richard Truman  
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

The characters and events portrayed in this book are fictitious. Any similarity to real persons, living or dead, is coincidental and not intended by the author.

No part of this book may be reproduced, or stored in a retrieval system, or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording, or otherwise, without express written permission of the publisher.

Projekt i wykonanie okładki e-book – MATT  
Redakcja i korekta – Korekto.pl

ISBN-13: 9781234567890  
ISBN-10: 1477123456

Polska 2021

# Księga (U)Rodzaju

*Oto jestem Ja, Sprawiedliwy, który za dobre wynagradza,  
a za złe karze... czy jakoś tak.*

## 1. Genesis bez Phila Collinsa

Na początku było słowo...

– Dupa!

– Nie takie.

– Co nie takie? – Wzruszył ramionami oburzony.

– Nie takie słowo.

– Co nie takie słowo!? To ja tu jestem Ten, który o wszystkim decyduje. Ja tu dowodzę i będzie tak, jak Ja zechcę. Ciemno tu jak w dupie jeża, cicho jak w mysiej norze i nudno jak w wenezuelskiej telenoweli. I tak od siedmiu nieskończoności. Nic się tutaj, do cholery, nie dzieje. No wściec się normalnie można. Czyż to nie najtrafniejsze słowo, idealnie pasujące do zaistniałej sytuacji?

– Ależ od takiego słowa nie może wszystko się zacząć... wszelkie stworzenie.

– Dlaczego nie może? Może i się zacznie! Jak mówię „dupa”, to będzie „dupa” i od tego właśnie zacznę, od tych oto słynnych czterech liter: „de”, „u”, „pe” oraz „a”.

– Ale to tak nieładnie, nefajnie... – Nie odważyłem się dodać, że niekulturalnie. – To byłby bardzo kiepski początek, chyba... – dodałem.

– Nieładnie? I tu cię, leszczu, zażyję jak tableteczkę na ból głowy. Otóż primo: wszelkie stworzenie dopiero od tej chwili się rozpoczyna, zatem słowo nie posiada jeszcze żadnego ładunku emocjonalno-merytorycznego i posiadać go nie będzie, dopóki sam takowego mu nie nadam. Secundo: gdy już nadam mu powyższe, wspomniane słowo stanie się kwintesencją pobudzenia. Oddzieli bowiem stan emocjonalnej stagnacji od stanu emocjonalnej ekscytacji. Za każdym wszakże razem będzie ono okrzykiem emancypacji zmian. Swoistym „nie” dla zastanej sytuacji, brakiem zgody na stan obecny – choćby był li tylko chwilowy. Ergo: początkiem bądź przynajmniej pragnieniem początku czegoś nowego; pragnieniem nowej kreacji rzeczywistości. Tertio: jako przyszły symbol emocjonalności słowo to stanie się także symbolem życia czy choćby chwilowego ożywienia, a więc samo przez się – swoistego aktu tworzenia. Do tego kojarzyć się będzie z seksem, a zatem z aktem poczęcia nowego życia *sensu stricte*.

„Ależ to skomplikował” – pomyślałem.

– Ech... Czy naprawdę musimy od tego zaczynać? Nie moglibyśmy zacząć od jakiegoś innego słowa?

– Nie! I jeśli tak cię to drażni, to wyobraź sobie, że to na przykład akronim pochodzący od słów: Dynamicznie Ukształtowany Początek Afirmacji, czy coś w tym stylu... I zawrzyj wreszcie jadaczkę, bo się skupić nie można. Ja tu tworzę!

**Stwórca:** Światło!

**Narrator, czyli Keith Truman:** Pstryknijcie palcami, którego na razie nie słyhać, bo nie ma jeszcze fonii. Tego, co tutaj do tej pory mówimy, też nie słyhać, dlatego musisz czytać... Cholera! To co

z tym „słowem”? Tym, które było na początku (pomijając tegoż powtarzanie), skoro nie było fonii? Zapisane też być nie może, bo niczego jeszcze przecież nie ma. „Ciemność widzę, widzę ciemność”. Cóż, pomijając... Właśnie rozbłysnęło światło tak mocne, że aż szczypie po oczach.

– Muzyka!

I rozbrzmiały, z cicha począwszy, anielskie melodyje błogie.

– Stop! *Out* mi z tym! Nie taka muzyka. Muzyka z „Pulp Fiction”! I głośno!

I rozbrzmiała muzyka z filmu „Pulp Fiction”...

[Muzyka z „Pulp Fiction”]

– Nie, ale nie może być muzyka z „Pulp Fiction” – zaprotestowałem. – Nie ma jeszcze „Pulp Fiction”. Przecież niczego jeszcze nie ma, Stwórco.

– Co ty mi tu będziesz za kit pociskał, Truman? A czas?

– Jaki czas?

– Pytam, czy stworzyłem już czas?

– No, zasadniczo, to...

– To co się czepiasz o szczegóły. Nie ma jeszcze czasu, tak że wszystko było, jest i będzie w tym samym momencie. Ja tu decyduję o kolejności. Jak zechcę zacząć proces tworzenia od kablówki, to sobie strzelę kablówkę i co mi zrobisz?

– Rozumiem, ale powinieneś zacząć od mechaniki kwantowej, bo inaczej wszystko pójdzie w piździec.

– Walić mechanikę kwantową. Ja tutaj rządzę i robię, co mi się rzewnie podoba! Zrozumiałeś?! Ot, taki przywilej Stwórcy. Jak zrobię, tak i będzie. O patrz!

[Pstryknięcie palcami]

Już słyhać (wraz z wolną cichnącą muzyką z „Pulp Fiction” w tle) i nagle skrzydłami zatrzepotał mały żółty kanarek...

„Kanarek? Jak to kanarek?” – pomyślałem.

– No dobra, ale gdzie on teraz będzie latał? Przecież nie ma jeszcze przestrzeni?

– Gdzie? W czasoprzestrzeni Minkowskiego<sup>1</sup>. Ot gdzie.

– Przecież nie ma jeszcze Minkowskiego, Stwórco?

– Nie ma i nie będzie.

– Jak to nie będzie?

– A tak to. Walić Minkowskiego, nie potrzebujemy go. Ja jestem Minkowski. Ja tworzę i sam odkrywam, co stworzyłem. Wszystko jest ze Mną, przeze Mnie i dla Mnie. I nic o Mnie beze Mnie, czy jakoś tak... Jam jest Ten, który Jest. Jestem, który jestem, a tyś jeno prostym pismakiem, prochu marny, więc nie za dyskusyje ze mną się bierz, tylko za klepanie w klawisze. Chyba że jedziesz na atrakcje, bo nie widzę. – W tym miejscu uszczypliwy nieco przytyk uczynił, ponieważ Stwórca widzi wszystko, nawet jeszcze zanim sam stworzy światło. – W każdym razie połamania pióra, czy coś tam... – dokończył sarkastycznie.

Litera „L” utworzona ze świętych palców na czole Stwórcy wymownie (aczkolwiek mogłem użyć słowa dobitnie lub zasadniczo, czy jeszcze jakoś inaczej, ale pierdzielę, nie będę już zmieniał, i tak pracuję za Bóg zapłać) oznajmiła mi, gdzie moje miejsce.

---

<sup>1</sup> Hermann Minkowski – niemiecki matematyk i fizyk pochodzenia polskiego; nauczyciel Alberta Einsteina, twórca pojęcia czterowymiarowej czasoprzestrzeni.

– No i taka narracja, Truman, mi się, w trąbę słońca, podoba. Ale jak powiesz, że nie ma jeszcze słońca...

Nie ośmieliłem się.

Uwaga, teraz będzie chaos w zdaniu. Na początku zawsze gdzieś musi być chaos, no wiecie, taki twórczy rozpiżdziel. Tak więc, żeby nie zacząć zdania od „tak więc”, zaczynam: Uniesiony święty, wskazujący palec prawicy Miłosiernego (ręka zgięta w łokciu, palec wskazujący wzniesiony tak, by jego czubek nie wywyższał się ponad czubek świętej głowy) zaprawdę wymownie... No dobra, wymownie już było. No to: palec ów zaprawdę dosadnie sugerował powagę nastroju Stwórcy, sprawiając, że za psią sierść nie miałem odwagi sprawdzać, co by się stało, gdybym nieopatrznie, podkreślał nieopatrznie, doprecyzował, iż istnienie słońca nie zostało jeszcze powołane do życia.

– I tak trzymaj, leszczu. No. To jeszcze raz: Światło!

I stała się światłość.

– Muzyka!

I na nowo rozbrzmiała muzyka z „Pulp Fiction”.

– Akcja!

I po Wielkim Pierdolnięciu światło rozpierzchło się z prędkością, eee... światła we wszystkich kierunkach, hmm, świata... Wszechświata... czy tego czegoś, gdzie Wszechświat właśnie się tworzył. A wraz z nim wszelkie cząstki elementarne, kwarki, bozony, hadrony, elektrony, neutrino i takie tam, które to pod wpływem sił grawitacji kwantowej oraz innych, tak zwanych (w fizyce) oddziaływań słabych, elektromagnetycznych oraz silnych. Zaczęły łączyć się ze

sobą, tworząc materię, z której w przyszłości powstaną gwiazdy i planety, i...

– Stop! Truman! Co ja powiedziałem!? Jakich sił grawitacji? Za pomocą Moich sił! MOICH sił, Truman! Gdzie ty mi się tutaj wtranżałeś z tą mechaniką kwantową? Umawialiśmy się, tak? Ty jesteś pismakiem, Ja jestem Stwórcą, notujesz? Ja robię, co chcę, a ty klepiesz w klawisze i wszystko zapisujesz. I nie stresuj się zbytnio tym tłumaczeniem wszystkiego wkoło. Nie trzeba zbyt wiele rozumieć. Wystarczy, że Ja rozumiem. Wierzyć trzeba, Truman, wierzyć trzeba. – Dlaczego właśnie w tej chwili do mnie mrugnął? – Zaufaj Bogu, Truman. *In God we trust...* czy jakoś tak – dodał, uśmiechając się półgębkiem, po czym mrugnął ponownie.

– Ale...

– Tak, Truman?

To nie było zwyczajne: „tak, Truman”, to było „tak, Truman” z akcentem na „Truman”, a właściwie na „Tru” z wyraźnie wyczuwalną nutą irytacji w głosie. „Tak, Truman”, które na 86,3% (w przybliżeniu) zwiastuje kłopoty. Zresztą jak mówi do mnie po nazwisku, to zawsze jest wkurzony. Mimo wszystko decyduję się na moją odważną, aczkolwiek pozbawioną zdrowego – bacząc na okoliczności – rozsądku ripostę sugestywno-korygującą.

– Jakąż to, Truman?

W głosie Stwórcy można było wyczuć co najmniej delikatne zniecierpliwienie. Nie jestem do końca przekonany... czy słyszałem w nim większą dozę ciekawości, czy może bardziej jeszcze wzmożony stan poirytowania? To znaczy większy od wskaźnika 86,3% (w przybliżeniu).



– Taką, że nie jesteś jeszcze Bogiem, Stwórco – wypowiedziałem na głos... lub wydawało mi się, że wypowiedziałem. A może jednak tylko myślałem...

– Co!? Co takiego!?

„Wypowiedziałem... Dupa! Zresztą i tak przeczytałby w moich myślach” – pomyślałem.

– Nie jesteś jeszcze Bogiem, bo niby Bogiem czego? Kogo? Nikt w Ciebie nie wierzy, bo nikogo jeszcze nie ma. Na razie jesteś Stwórcą. Jak stworzysz ludzi, a oni, nie mając bladego pojęcia o mechanice kwantowej, pomyślą, że wszystko musiał stworzyć jakiś Bóg. Uwierzą w Ciebie, pokochają Cię i zaczną Cię czcić.

– Sugerujesz, że Ja stworzę ludzi, a oni stworzą Mnie?

– No coś, jakoś na ten kształt...

– I że będą Mnie później kochali i czcili?

– O będą, Stwórco, będą.

– A może to Ja mam ich także pokochać? Tak?

– W sumie nie byłoby źle... – dodałem niepewnym głosem, słysząc lekkie rozdrażnienie w brzmieniu Stwórcy.

– A może Ja też mam ich zacząć czcić, Truman?

– Nie, nie. To już byłoby zbyt wiele. Zbytek łaski. Wystarczy polubić, no pokochać może... trochę...

– To było pytanie retoryczne, przygłupie! Teraz powiedz mi, że nie ma jeszcze retoryki, bo nie było Arystotelesa, Seneki, Cyncerona. A to właśnie było twierdzenie retoryczne, leszczu. I walić Arystotelesa. Ja jestem Arystotelesem. Jestem, który jestem, a przeze Mnie wszystko i nic bez Mnie.

– Ja się już nie wtrącam, bo w tym tempie to nigdy nic nie stworzymy, żadnej planety, żadnej gwiazdy nawet. Na załączki życia we Wszechświecie trzeba będzie poczekać ze cztery wieczności, a do tego, co gorsza, ja nigdy nie ukończę tej książki.

– „Nie stworzymy”? Żebyś się czasem nie zmęczył. To Ja będę tworzył, ty masz tylko pisać... Czyż nie taka była umowa? I do tego to życie we Wszechświecie... Kanarek ci nie wystarcza?

– On i tak zaraz wykorkuje, bo w próżni, biedny, nie ma nawet czym oddychać. – Nie odzywał się.

W chwili refleksji wyjąłem z kieszeni paczkę cameli, obrałem z cienkiej folii, wydobyłem papierosa. Praktycznie nie palę, ale choć na chwilę potrzebowałem poczuć się jak Keith Richards ze Stonesów. Zapalić i pyknąć dymem, odchylając głowę dynamicznym ruchem i zrzucając długie kosmyki włosów z barków w geście „walić to wszystko” – pomijając fakt, iż takowych włosów nie posiadam. Wtedy z zadziwiającym spokojem w głosie Stwórcy wystrzelił:

– Jak myślisz, kolego, że będę to wszystko budował, klejąc atom do atomu, to żeś się lekko pomylił. Jeśli widzisz Mnie lepiącego niezliczoną ilość pieprzonych, malusieńkich kuleczek przez sto pierdylionów lat, toś się chyba kleju nawąchał. Oskoczmy temat w sześć ziemskich dni. Sześć dni, a potem pepsicola i luz.

„W gruncie rzeczy idea nie jest taka całkiem głupia” – pomyślałem, ale chwilę później nasza mnie refleksja:

– Stwórco, generalnie git idea, ale przecież ludzie tego nie kupią. W sześć dni? No nie ma bata.

– OK! Obskoczę temat w dwanaście. – Moment ciszy. Konster-nacja. – Żartowałem – dodał. – Sześć dni i ani dnia dłużej. Koniec dyskusji.

– Ale ludzie...

– Walić ludzi! Gówniany pomysł z tymi ludźmi. W ogóle nie zro-bię ludzi i *finito*. Na cholere mi ci ludzie. Tylko ludzie i ludzie.

– Ludzie muszą być, Stwórco! Jak, tak bez ludzi?

– Co „jak bez ludzi”? Bez ludzi to bez ludzi. Normalnie.

– A czym będziesz Bogiem? Kto Cię czcił będzie?

– Dajże mi spokój z tym czczeniem. Co ty, Truman, w jakieś kompleksy popadłeś? Na psią dupę ma mnie ktoś czcić!? Co to w ogóle znaczy, to czczenie? Czczenie, szczenie, szczanie, czysz-czenie... Na co to komu? I co będą robić? Padać na kolana, składać ręce w kształt wieży Eiffla? Klepać coś pod nosem? Beczeć jak ko-zy, rozdzierać szaty, leżeć krzyżem, rzeźbić figurki, bić pokłony i takie tam? I to ma być śmieszne? To ma mnie bawić? Na co mi taka maskarada? Jeszcze się złączą zabijać dla mnie i to dopiero będzie masakra jakaś. Jatka jak u niedźwiadka. Zapomnij, Truman. Ludzi nie będzie, a jak takie hece ci imponują, to się do psychologa umów. Głowę lecz.

Na te słowa Stwórcy, palcem wskazującym dłoni lewej, cztery-kroć stuknął w skroń swoją świętą, patrząc przy tym na mnie z przymrużonymi powiekami jak na popaprańca jakiego. Wstyd przeszył wówczas me ciało, a policzki zapłonęły ogniem piekiel-nym.

– Truman, jak ty to piszesz? Co to za język? Jak to w ogóle brzmi: „wstyd przeszył wówczas me ciało, a policzki zapłonęły

ogniem piekielnym”? Kto tak mówi, Truman? Nikt tak nie mówi. Więcej luzu. Nie lepiej napisać na przykład tak: „Stwórca postukał się palcem w czoło, spoglądając na mnie tak, że poczułem się jak ostatni ciul”?

– No... „ostatniego ciula” to raczej zmieniałbym na: „mocno zakłopotanego” czy jakoś tak... A w ogóle... – W poczuciu zakłopotania właśnie i niezręczności zaistniałej sytuacji skoczyła mi nagle adrenalina. Jakimś cudem zebrałem się na akt odwagi i... – A w ogóle to czemu Stwórca mnie poprawia? To ja tu jestem pismakiem i piszę tak, jak chcę. Jak napiszę, tak będzie. Piszę, który piszę, a Stwórca nie za edytowanie ma się brać, tylko za akt stworzenia, bo kiszka wyjdzie z tego wszystkiego i tyle.

Poziom adrenaliny gwałtownie spadł mi poniżej wartości krytycznej. Jedno pstryknięcie palcami i nie miałibyście co czytać. Każde uderzenie serca słyszałem jak odbity echem huk odległego wybuchu bomby wodorowej. Chyba spadł mi cukier...

„Uśmiechnął się... Szyderczo, czy rzeczywiście Go rozbawiłem?” – zastanawiałem się.

– Dobra, cwaniaku, jeden zero dla ciebie.

„Uff! Co za ulga...”.

– Przybij piątala – dodał.

– O nie! Piątala nie. Pamiętasz, co ostatnio...

– A! Tak... Zapomniałem. OK, bez piątala. No dobra, to ty robisz swoje, Ja swoje i git. Pasuje?

– Pasuje – odrzekłem z ulgą. – „Lepsze to, niż rozkwantowanie na cztery wieczności” – pomyślałem.

– Słyszałem! – odparł z uśmiechem.

„No tak. Zapomniałem, że słyszy myśli”.

– To też słyszałem ;). O! Popatrz na to – dodał z uśmiechem – ładna?

– No... Ale przecież to nie Ziemia? – wybąkałem po chwili obserwacji Jego kulistego dzieła.

– Nie pytam, czy to Ziemia, tylko czy ładna?

– Planeta, no... elegancka. Ale Ziemię też trzeba będzie...

– Pewnie Ziemię, żeby ludzi tam potem wpakować. Zapomnij – przerwał mi. – Ty, a ci, fajni?

– A co to jest? Kto to? Jacyś trochę tacy...

– No jacy „tacy”?! Co ci się znów nie podoba, hejterze? Przecież czadowi są. Dla mnie bomba.

– Ale to niepodobne do ludzi... No, podobni, ale niepodobni...

– Bo to nie są żadni ludzie, Truman, tylko kosmici. O kosmitach nie słyszałeś?

– Nie wiadomo, czy istnieją?

– Jak nie istnieją, jak istnieją. Właśnie na nich patrzysz, głąbie. Mi się podobają, co kręcisz nosem. A o ludziach już gadaliśmy. Coś ci chyba pamięć szwankuje. Powiedziałem, że ludzi nie robię i już.

– I tacy kosmici tylko?

– Nie tylko, Truman. Nie tylko. Mamy jeszcze kanarka i zrobimy kolejnego, bo zarąbiście wyszedł. No patrz na niego. – Patrzył na tego kanarka jak dziewczynka na łaciatego szczeniaczka.

– A jak on oddycha? Czym? W sensie, że skoro powietrza nie ma jeszcze, bo nie stworzyłeś?

– No masz! Ten znowu swoje. Z tą swoją fizyką, chemią, biologią i całą tą nauką. Przecież aż łeb boli od tego. Będziesz czytał te

książki i czytał, a na koniec i tak szlag cię trafi i wszystko psu w dupę. A tak jest kanarek? Jest. Lata? Lata. Żyje? Żyje! To co się przypieprzasz ze szczegółami. Zresztą masz swoje powietrze. O! I tak go nie zobaczysz, bo tak zrobiłem, że jest niewidzialne. I co ty na to? Ha!

„Ale poczuje” – pomyślałem.

– Słyszałem, cwaniaku! Słyszałem.

– I co, i będziemy mieć tego kanarka, i to UFO. I to już wszystko?

– Kilka kanarków. Powiedziałem, że zrobię więcej, ale nie powiedziałem, że to już wszystko. Przerwę sobie robię i tyle.

– A co później stworzymy?

– Stworzymy? Ja tu jestem od tworzenia, pismaku. Ja stworzę, a ty opiszesz ślicznie w swojej książeczce.

– To co stworzysz, jak już odpoczniesz, żebyś mógł to opisać?

– A nie wiem. Pomyślę. Coś ty taki w gorącej wodzie kąpany?

Wyluzuj.

– Może jednak tych ludzi spróbujemy? Przepraszam, spróbujesz.

– Wyjdź mi z tymi ludźmi w ogóle. Co z tobą?

– Nie chcesz ludzi... A kto Cię kochać będzie?

– Jak to kto? Kosmici.

– Nie no, kosmici? Weź, przestań.

– A co ci się w kosmitach nie podoba? Fajni są. Zarąbiści. Ja już ich polubiłem.

– No dobra! To zostaw sobie kosmitów, ale Ziemię chociaż zrób, proszę, *please!*

– Dobra, leszczu, zrobię ci Ziemię. Ale jutro, bo na dzisiaj mam dość. Zgoda?

– Zgoda! – Nie ukrywam, że naprawdę się ucieszyłem, *for real*, *for real*.

[Uśmiech Trumana... na chwilę]

– Burak chce Ziemię, bo myśli, że jak zrobię Ziemię, to później naciągnie mnie na ludzi. – Mina Stwórcy nie rokowała optymistycznego rozwiązania naszych pertraktacji.

– Nie ma żadnych pertraktacji. Ci się wydaje, że ty ze Stwórcą pertraktujesz, Truman?

„No masz! Znów się zeźlił” – pomyślałem.

– Słyszałem.

– *Sorry!*

– My nie pertraktujemy. Ja tworzę, ty spisujesz. Ty podrzucasz pomysły, Ja je odrzucam. No czasami, ale tylko czasami, jak mi się coś spodoba, to wtedy... jak przemyśle... Ale ludzi nie będzie i *fuck off*.

Wyprostowany środkowy palec Stwórcy w wyciągniętej przed nią twarzą ręce zdefiniował właśnie pojęcie *fuck off*, znane również potocznie jako „spierdalaj” lub „wal się”, tudzież im pochodne – jak pochodne od funkcji liniowej w matematyce, czy jakoś tak. Możliwe jest również, że to *fuck off* i pochodne zdefiniowały właśnie znaczenie wyprężonego w górę środkowego palca. Sam już nie wiem...

– Ale rogów diabła nie zrobisz – dodałem po chwili.

– Zrobię.

Zrobił.

– Ty wiesz, że nie odpuszczę z tymi ludźmi. W końcu jesteś Stwórcą, wiesz wszystko.

– Wiem. I możesz sobie nie odpuszczać, a ja i tak ich nie stworzę. Ale ty tego nie wiesz, bo nie jesteś Stwórcą.

– Zrobiisz?

– Nie zrobię.

– Zroobiisz... – Zrobiłem minę szczeniaka. Tak mi się wydawało przynajmniej, ale, nie mając lustra, nie byłem pewien, jak to wyglądało.

– Nie! A teraz jadaczka, bo chcę odpocząć. Muzyka! Eee... Genesis. Eee... Ale z Philem Collinsem.

Stwórca ze splecionymi nad głową rękami i założonymi stopa na stopę nogami wyciągnął się wygodnie na hamaku. W tle zaś rozbrzmiała z cicha muzyka grupy Genesis z Philem Collinsem.

– Głośniej, kurde! Nie powiedziałem, że chcę spać, tylko odpocząć, tak? Odpocząć to odpocząć, a spać to spać, tak trudno ogarnąć?

I muzyka grupy Genesis z Philem Collinsem stała się głośniejsza, ku wyraźnemu zadowoleniu Stwórcy. Na jego uświęconej twarzy malowała się niczym niezmacona błogość. No, być może zmacona nieznacznie lekkim rozbawieniem. Momentami wydawać by się mogło jakby podśpiewywał, próbując mierzyć się na głosy z Philem Collinsem. Nie wydawało się, rzeczywiście podśpiewywał.

[Muzyka grupy Genesis z Philem Collinsem, ciche podśpiewywanie Stwórcy]

– Ale nie, nie możemy z Philem Collinsem – sprostowałem nagle.

– Czemu!? Co znowu? – Poderwał się z hamaka tak, iż mało z niego nie spadł. Usta uświęcone zmieniły swój idylliczny kształt



w obraz ust Zeusa Gromowładnego tuż przed ciśnięciem piorunem w czyjąś, pozał-się-boże, chatynę pokrytą jakimś zerwanym trawiskiem, uprzednio je wysuszywszy (pewnie nie wiedzieli, biedaki, że tak szybciej pójdzie z dymem).

– Dlaczego nie z Philem Collinsem? Co z nim nie tak? Lubię Phila Collinsa! – krzyknął.

– Nie, no Collins jest OK, tylko...

– Co „tylko”?! – przerwał mi wzburzony.

– Tylko, że nie ma jeszcze Phila Collinsa, Stwórco.

– TRUUMAAAANN!!!

[Muzyka grupy Genesis z Philem Collinsem. Głośno]

[linktr.ee/keithtruman](https://linktr.ee/keithtruman)

keith.r.truman@gmail.com